

SkyRunning World Series Final – Sentiero delle Grigne, dzień 1

Ląduję pół godziny wcześniej na lotnisku w Bergamo. Wszyscy od razu w stronę wyjścia, gdyż każdy ma torbę już ze sobą. Rozglądam się za Cesare, delegatem szefa SkyRunning. Jeszcze go tu nie ma. Staję na zewnątrz i czekam. Jest prawie 22.00 i 25 stopni. Po czasie widzę, że podchodzi do mnie facet nieco starszy niż przypuszczałem i od razu rzuca spojrzenie na łydki (moje).



Pani, która jest z nim tłumaczy i już jest jasne, że po nich mnie poznał. Idziemy z powrotem na lotnisko. Jest jeszcze jedna osoba, którą muszą zabrać do tego samego hotelu. Idziemy usiąść. Proponują mi kawę i piwo. Wybieram piwo, lecz wolałbym wodę. Cesare zaczyna szkicować mapę poniedziałkowego powrotu z Pasturo na lotnisko. Zajmuje mu to z 10 minut i nie chce skończyć. Efekt jest całkiem niezły.

Dziewczyna, na którą tyle czekaliśmy przylatuje z Londynu (choć mieszka w Walii, a wychodząc z ogródka może wbiegać na Snowdon). Znów, łatwo ją rozpoznać po plecaku i charakterystycznym chodzie. Teraz możemy już jechać. Droga jest kręta, lecz strasznie gładka. To musiało mi się od razu rzucić w oczy. Jedziemy długo przez tunele, które wydrążono pod górami. Dzisiaj nie jestem się już w stanie niczym zachwycić. Na miejscu spoglądam znak z jedną gwiazdką przybity obok drzwi wejściowych. Gdy dostaję pokój, szybko zdejmuję stare asicsy i rzucaam się do łóżka.

SkyRunning World Series Final – Sentiero delle Grigne, dzień 2

Budzę się rano z lekkim bólem głowy. Może to przez to świeże powietrze. Wychodzę przed hotel i od razu widzę te niesamowite góry, przez które będę się jutro przedzierał. Robię kilka zdjęć i uciekam na skromne śniadanie.



Filizanka herbaty, bułka z dżemem i dwa sucharki. Pełnowartościowe śniadanie. Dobrze, że w planie jest teraz długi spacer, może znajdę gdzieś jakąś pasticerie. Krążę po okolicy i nie mogę znaleźć żadnego sklepu. Dopiero po godzinie w jedną stronę znajduję warzywniak, a w nim wodę. Potem będę już korzystał ze źródełek, których akurat nie brakuje.



Idę do Pasturo odebrać swój pakiet startowy. Dostaję dużą torbę z upominkami. Oprócz numeru startowego i zestawu kielbasek nic mi się stąd nie przyda. Miałem spotkać się z organizatorem, lecz nie mogę go znaleźć. Mało kto mówi tu po angielsku, więc wykorzystuję swój łamany włoski i

sporo gestykuluje. Na obiad to, co było w pakiecie. Po drodze dwie butki słodkie do wieczora dają radę. Idę wcześniej wspiąć się na jakąś górę tuż za hotelem, znajduję wodospad i korzystam ze świeżego powietrza. Odpuszczam briefing. Z wieczornej relacji dowiaduję się, że nic mnie nie ominęło. Dosiadam się do trójki Anglików i wspólnie przy kolacji opowiadamy sobie o bieganiu i podróżowaniu. Tuż obok nas dwie zgrane grupy: Hiszpanie oraz Włosi. To dwa przeciwne obozy. Nic więc dziwnego, że unikają ze sobą kontaktu. Jak się pewnie okaże, będą wśród nich zwycięzcy. Jest i pewniak do tytułu mistrza świata **Oihana Kortazar**, która z dzieckiem na ręku opowiada najwięcej.

SkyRunning World Series final – Sentiero delle Grigne, dzień 3

Maraton miał się zacząć o 7.30, a połówka półtorej godziny później. Plany popsuta pogoda. Od wczoraj cały czas pada, a teraz jeszcze błyska. Grupa, która pojechała na start pierwsza, wraca się do hotelu. Zastanawiam się, jak będzie wyglądać przygotowana wcześniej trasa. Jestem już po skromnym śniadaniu, przebrany i w miarę przygotowany. W zeszłą niedzielę zrobiłem Maraton Wrocław i przynajmniej trzyma mnie znajomość dystansu... Zagaduję jakiegoś Włocha, który z rodziną wybiera się na start. Jest i miejsce dla mnie. Fajnie, że jego żona mówi po angielsku, to ratuje sytuację.

W Pasturo, małej górskiej miejscowości, widać mnóstwo biegaczy. Tu właśnie odbędzie się finał SkyRunning World Series, którego ostatnim biegiem jest Sentiero delle Grigne, jednocześnie dla niektórych to ostatnia szansa na przebicie się do pierwszej dziesiątki. Wchodzę do pomieszczenia, gdzie ktoś powinien przyjąć ode mnie plecak. Przyzwyczaiłem się do biegów w Polsce. Rzucam plecak obok innych i tak jak wszyscy przestaję się nim teraz zajmować. Idę na zewnątrz ubrany w kurtkę przeciwdeszczową. Przechodzę przez bramkę i zostaję zapisany. Stajemy wszyscy w kolumnie i czekamy na start. Zaczynamy kilka minut wcześniej, bo przez ten deszcz i grzmoty nikomu nie chce się już stać. Ruszył Półmaraton – e Mezza Maratona delle Grigne.

Pierwszy kilometr po krętych uliczkach Pasturo, cały czas w górę. Obudzeni mieszkańcy choć dziwią się po co, to dopingują nas jak mogą. Potem mocno (jeszcze raz) w górę. Sporo przechodzi w marsz, w tym i ja. Dopiero później udaje nam się biec. Ale jest to ruch naprzemienny. Po pół godzinie widać coś w rodzaju ścieżki na szczyt masywu. Przypomina to rozciągnięty bieg na Śnieżkę. Dwa, trzy kilometry, a może mniej, bo sugeruję się czasem, jaki zabiera wdrapanie się na szczyt. Pod górę nikt mnie nie wyprzedza, jest wręcz przeciwnie. Podczas zbiegu zostaję na szarym końcu. Ta kolumna osób, mówiąc brzydko, robi ze mną co chce, a ja próbuję tylko nie wyróżnić w wystające skały. Trudno. Na końcu tego zbiegu krótki postój. Kilka ciastek, dwa kubki soku i odrobina coli. Biegnę dalej, lecz przez chwilę mam mieszane odczucia, czy nie pomyliłem trasy. Przede mną i za mną nikogo nie ma. Staję, odsuwam się, przepuszczam zawodników z białymi numerami (to Maraton). Czy ja biegnę tak wolno, czy skrócili maraton i szybciej poszedł on naszą trasą? Dopiero za chwilę widzę czerwony numer. Mezza?, pytam. Mezza, si. Oj blocka jest teraz

mnóstwo, to nic. Mkniemy przez strumyki, gdzie wody do kostek. W tym miejscu nastąpi pochwała asicsów. Asics Enduro 7, kupione miesiąc temu to chyba najlepszy model asicsów jaki miałem. Świetny grip, świetne spięcie i trzymanie po bokach. Praktycznie zero amortyzacji, lecz nic nie boli, gdy biegnę po kamiorach. Czuję je, ale to zupełnie inne wrażenie niż w Kayano, czy Cumulusach. Na kolejnym postoju ten sam energetyczny zestaw. Pytam ile jeszcze? Quattro! Quattro? Molto bene 😊. Odczułem ulgę. Choć to 17km, a ja mam na liczniku ponad 2.5 godziny, to fajnie wiedzieć, ile jeszcze do końca. I znowu błoto, teraz jest strasznie. To wygląda jak Bieg Katorżnika. Zwalniam, stoję, robię wszystko, by się nie wywrócić, nie poślizgnąć. Ostatnie dwa kilometry to trawa, kamienie, a potem już asfalt. Próbuję wyprzedzić kilka osób, ale nie spinam się już. W leju przez ostatnie 50m słyszę dopingujące krzyki – Go Paul! Jestem, nawet nie wiem, jaki dokładnie czas, potem sprawdzę. Chcę się przebrać i „iść dalej”. Schodzę w stronę sali i jak wszyscy korzystam ze źródła ze świeżą górską wodą. Obmywam buty i nogi aż do kolan. Myję się, przebieram i siedzę jeszcze z 10 minut, by zebrać myśli.



Marguelish, zwycięzca biegu w Sierra Zinal

Wypatruję swoich znajomych Włochów i Anglików. Staję koło nich i czekam, aż pójdziemy wspólnie zjeść.

Świetna organizacja i pełne talerze. Siedzimy, rozmawiamy. Naprzeciwko jakiś Brytyjczyk, który zrobił „pełny” maraton. Opowiada o technice, o bieganiu w Szkocji. Za pół godziny widzę go na podium jako zwycięzcę dzisiejszego biegu.



Nieźle zaskoczenie.



Daje mi potem zrobić sobie zdjęcie...



i potrzymać trofeum 😊.

